

SIERŻANT BAGIETA

OTWIERAĆ! POLICJA

**BRUTALNA PRAWDA
O ŻYCIU NA SŁUŻBIE**

MANDO 

SPIIS TREŚCI

Intro w outro	6
Dochodzenia	18
Interwencje	44
Broń	74
Niebieski	96
Pierwsza pomoc	114
Błędy.	142
Narko	156
Forma policjanta	174
Sprawiedliwość	190
Rodzinno-sentymentalnie	212
Outro.	226

INTRO W OUTRO



Koniec jest jeden, ale ma wiele początków. Kiedyś zastanawiałem się, który moment uruchomił cały łańcuch zdarzeń, doprowadzając ostatecznie do tego, że nie pracuję już w policji. Ale chyba nie było takiej jednej, przełomowej chwili, która zdecydowała o wszystkim. To była raczej cała playlista, w której każdy kolejny kawałek był mocniejszym pierdolnięciem.

Istnieje natomiast wspólny mianownik wielu sytuacji, które przekonały mnie do wyskoczenia z granatowego munduru. Tak, zgadniecie z łatwością – to ludzka głupota. Głupota ufundowana na władzy, która sprawia, że uczciwa policyjna robota zamienia się w karykaturę. Właśnie przez to polska policja cierpi na braki kadrowe. Na szczęście spotkałem na swojej drodze świetnych, uczciwych ludzi, których codzienny wysiłek nadaje tej pracy sens. Trzymam za nich kciuki każdego dnia i to dla nich działam w sieci jako Sierżant Bagieta, komentując policyjną rzeczywistość.

Przez te siedem lat służby dowiedziałem się mnóstwa rzeczy o człowieczeństwie. O dobrych i złych stronach ludzkiej natury. O bohaterstwie i o skurwysyństwie, o sile i o słabości. Przekonałem się, jak ważny jest szacunek do drugiego człowieka.

Dlatego jeśli miałbym już wskazać jeden z początków końca mojej pracy w policji, może wybrałbym moment, kiedy to wróciłem do rodzinnego domu, a moja mama od progu zapytała z wyrazem obrzydzenia na twarzy: „Co tu tak śmierdzi?”. Czułem się jak szmata – bo tak nas potraktowali w pracy: zeszmacili. Zresztą o szmaty całkiem dosłownie w tej sprawie chodziło.

Policja dostała zgłoszenie o mężczyźnie leżącym w rowie. Nie żył. Nie udało się ustalić jego tożsamości. I tak z człowieka pozostały jedynie zwłoki oznaczone jako NN, czyli anonimowe. Najwyraźniej przez dłuższy czas nie wzbudziły niczyjego zainteresowania. Mężczyzna nie żył już od tygodnia przed zgłoszeniem i właśnie tyle leżał w rowie melioracyjnym, w którym stała woda. Zwłoki były więc w stanie rozkładu, rozmoczone i napuchnięte.

Wyglądało na to, że sprawa szybko zostanie zamknięta. Pewnie pijany facet podczas nocnej wędrówki do domu przypadkiem wpadł do rowu i jego życie skończyło się, jak się skończyło – utopił się w kałuży. Lekarz podczas oględzin ciała stwierdził jednak uszkodzenia, które nie mogły powstać w wyniku upadku do rowu. Sprawa zmieniła status. Gdyby pozostała jako NN, to dokonano by kolejnych prób identyfikacji, zwłoki poleżałyby trochę w lodówce, a potem zostałyby przekazane miastu, które ma obowiązek pochować je na cmentarzu komunalnym. Teraz jednak wjechała opcja zabójstwa, co w postępowaniu zmieniło wszystko.

Ubranie mężczyzny nagle stało się dowodem w sprawie. Były to ciuchy zniszczone od wody i przesiąknięte trupim zapachem. Już za ciasne, bo ciało od wody i procesów gnilnych rozdęło się niczym ludek Michelina.

Sprawy o zabójstwo prowadziła Komenda Wojewódzka. Policjanci orzekli:

– Nie mamy odpowiednich pomieszczeń, żeby przechować dowody w tej sprawie.

Komendant ripostuje: – Gównu mnie to obchodzi, dowody mają być zabezpieczone i schowane.

Wtedy ktoś sprytny inaczej wypalił, że na naszym komisariacie jest przecież jedno nieużywane pomieszczenie. Moja pani komendant – z której można by zrobić matrycę dla pojęcia „oportunistka” – wybuchła entuzjazmem:

– Faktycznie, mam doskonałe pomieszczenie na ten cel, nie musimy szukać dalej!

Wyłożyła wszystkim, jak to dobrze się złożyło, bo dowody – zgniłe szmaty – właśnie u nas wysuszą się najlepiej. No to hurra, wojewódzka ma problem z głowy, pani komendant rozwiązała problem, podlizwała się i szczytuje z samozadowolenia, a przegrywami w tej sytuacji są oczywiście szeregowi policjanci.

Wiecie, czym to pachnie? Dokładnie. To teraz konieczna będzie tylko odrobina wyobraźni przestrzennej. Komisariat, pomieszczenia służbowe, w jednym ciągu kilka skomunikowanych pokoi. W tym jeden, w którym funkcjonariusze przebiegają się do wykonywania służby, ogniwo

patroloво-interwencyjne, czyli po prostu nasza szatnia. Było w niej kilka szafek, ławek, ale też prysznic i kible. To najważniejsze dla policjantów pomieszczenie. Zostawiasz tam swoje prywatne ciuchy, trzymasz drugie śniadanie, wodę i przekąski, a także wszystkie prywatne rzeczy, których nie zabierasz na patrol. Kiedy masz przerwę w służbie, wracasz tam, żeby odgrzać zupę w mikrofalach, zdjąć buty w gorący dzień czy po prostu usiąść i głębiej odetchnąć; zależnie od tego, co cię tego dnia spotkało.

Ta przestrzeń dla policjantów graniczyła z pewnym pustym pokojem. To on został zgłoszony przez panią komendant jako idealny na potrzeby śledztwa. W ruch poszły najbardziej zaawansowane technologie: nie minęła chwila od narady w komendzie wojewódzkiej, a już rozłożono w nim... balkonową suszarkę na pranie. Kilka aluminiowych rurek, trochę drucików, całość na koślawych nogach. I na to jeb – ciuchy z gnijącego trupa.

Dopóki były mokre, dało się wytrzymać. Ale w końcu trafiły tam, żeby wyschnąć. Z każdym dniem, jeśli nie z każdą godziną, wzmagał się smród. Bagnista woda i soki gnilne, które wniknęły w strukturę materiału, zaczęły odparowywać. Szybko szło. Był lipiec, upały powyżej trzydziestu stopni. Zamknięte drzwi nie pomagały. W zasadzie nic było w stanie odizolować tego pomieszczenia – w całym komisariacie cuchnęło trupem.

Policjanci znają ten zapach. Każdy z nas wiedział, skąd się bierze. Jeśli przychodzili do nas koledzy z innego



komisariatu, to otwierali szeroko oczy ze zdumienia: „Panowie, ale tu u was jebie. Jakbyście siedzieli na trupie!”. Ludzie niepracujący w policji nie mieli pojęcia, co to za smród, więc tylko się krzywili, co najwyżej niektórzy odważniejsi pytali, skąd ten odór. A i tak znajdowali się dobre kilkadziesiąt metrów od źródła smrodu, więc mieli styczność z jego najmniejszym stężeniem. Tego po prostu nie dało się zignorować.

Sam jestem bardzo odporny i niełatwo mnie czymś obrzydzić. Chcielibyście, żeby coś mnie obrzydziło? Nie ma szans. W pierwszej kolejności z natury, a potem z zawodowego doświadczenia niewiele mnie rusza. Ale gdy pierwszy raz poczułem zapach trupa, to mocno mną szarpnęło. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale na pewno nie tego, co wpadło mi w nozdrza. Zapach rozkładającego się ludzkiego ciała zupełnie mnie zaskoczył. Mięso zwierzęce, które kupisz w sklepie, ale za długo przetrzymasz i się zepsuje – to pestka, żeby nie powiedzieć „perfumy”. W zapachu trupa jest zaledwie jedna nutka podobnej woni w bardzo bogatym bukacie innych tonów. Pomyślcie o trupie jak o worku z zepsutym mięsem, do którego napchane jest mnóstwo innych rzeczy. Na przykład zjełczały żółty ser, zgniłe migdały – można szukać wielu podobieństw, ale żadne słowa nie oddadzą tego dławiącego, słodkawego zapachu, którego nie sposób pozbyć się z nosa [i potem z pamięci].

Ta nutka zwierzęca najbliższa jest w zapachu do zepsutego mięsa kurczaka unurzanego w przejrzalym, zjełczałym

żółtym serze. Jakby było posypane migdałami, które nadają całości słodkawą, mdłą zapach, którego nie da się pozbyć z nosa.

Mięso, które kupujemy do jedzenia, w procesie uboju jest całkowicie pozbawiane krwi. Nawet zamawiając w restauracji tak zwanego krwistego steka, otrzymujesz posiłek, w którym w ogóle jej nie ma. Tym, co wycieka ze steka pod wpływem nacisku widelca, jest mioglobina, czyli jeden z rodzajów białka, który barwi się na czerwono.

W zwłokach jest krew. Są też inne dodatki: żółć, sok żółtkowy, ale też gromadzą się gazy gnilne w jelitach; ponieważ jelita mają ogromną powierzchnię, gazy mogą rozpychać ciało i gromadzić się w wielkich ilościach. Dalej: w tym worku znajduje się też kupa, która jeszcze przez jakiś czas po śmierci gnije w ciele. Aż się wydostanie, bo puszczają zwieracze. I to jest kolejna, bardzo mocna nuta zapachowa tego bukietu woni. Większość trupów nie zdążyła do toalety przed śmiercią, więc fekalia zostają z nimi, dokładając swoje do tej niepowtarzalnej kompozycji zapachowej.

Odleżany trup to największy poziom intensywności doznań dla ludzkiego zmysłu powonienia. Im starszy, tym... słodszy. Trup, z którego ubranie trafiło na nasz komisariat, był właśnie taki: stary, spęczniały i słodki jak migdał w czekoladzie.

Na pytania ludzi z zewnątrz, co tak śmierdzi, większość kolegów nie odpowiadała wprost. Starali się kluczyć. Nie

wiem dlaczego. Aby chronić głupotę pani komendant? W żartach wszyscy kozaczyli, mówiąc rzeczy w stylu „waporyzacja z gnijącego chłopa”. Ale kiedy dyżurni i kryminalni przyjmowali kogoś z zewnątrz, ściemniiali jak dzieciaki:

– Przepraszamy za niedogodności, mamy problem z kanalizacją, którą wybiło.

Wkurzałem się na nich. Po chuj w ogóle kłamiecie, przecież to nie jest wasza wina! Dlaczego macie wstydzić za głupotę kogoś innego?! Z kilkoma kolegami byliśmy bezwzględnie szczerzy w wyjaśnianiu ludziom, skąd ten odór w budynku.

Jeśli akurat zostałem zapytany, to waliłem prosto z mostu: – Wie pani, dali nam ciuchy z rozkładającego się trupa. Suszą się u nas na komisariacie i to stąd ten smród. Nam też to przeszkadza, zresztą jest to całkiem niehigieniczne, więc może pani to zgłosić do pani komendant, bo to ona wpadła na ten pomysł. Czy napije się pani herbaty albo kawy?

W efekcie coś kliknęło w głowie pani komendant. Zapowiedziała, że „jeszcze chwilę i ciuchy znikną”. Dzień, dwa, trzy. Minął tydzień. Nic się nie dzieje. Zaczął się kolejny tydzień – ciągle nic. Poczuliśmy się jak ruskie mięso armatnie, z którym dowódca może robić, co chce, bo dla niego człowiek w ogóle się nie liczy. Przecież to było wbrew wielu regułom, zagrażało naszemu zdrowiu, nie mówiąc o zwyczajnej ludzkiej kulturze, której w dowództwie nie wykazał nikt. Jeden z moich kumpli powiedział wreszcie, że to

pierdoli, ma małe dziecko w domu, nie będzie ryzykował jego zdrowia, więc dopóki te ciuchy będą na komisariacie, to on nie będzie przychodził do pracy. Poszedł do lekarza, powiedział, jaki jest powód jego prośby o L4, a lekarka wypisała mu je bez mrugnięcia okiem. Podpowiedziała, żeby problem zgłosić do Sanepidu, bo to zagrożenie bakteriologiczne. Wracając do domu, przynosiliśmy ze sobą ten zapach, ale też nie wiadomo, co jeszcze przy okazji.

Zaczął się trzeci tydzień. Sugestię Sanepidu potraktowaliśmy bardzo poważnie. Naszym kierownikiem był świetny gość, którego szanowaliśmy. Wiedzieliśmy, że pracuje z nami ramię w ramię i nigdy nas nie wystawi. Porozmawialiśmy więc z nim o tym, ale odwiódł nas od zgłoszenia sprawy. Wkrótce zwolnienie lekarskie wziął też jeden z dyżurnych. Pani komendant była pod ścianą, bo pojawił się ktoś z Komendy Miejskiej, żeby sprawdzić te zwolnienia. Mleko się rozlało. Wreszcie po trzech tygodniach ciuchy po cichu zniknęły. Z czystej ciekawości chcieliśmy się dowiedzieć, co się z nimi stało.

Okazało się, że przenieśli je na inny komisariat, ale już nie do wnętrza budynku. Przy komisariacie był garaż, do którego wsadzili tę bombę biologiczną. Garaż z kolei graniczył z... podwórkiem przedszkola.

Kiedy więc tamtego dnia Mama od progu zapytała mnie:

– Co tu tak śmierdzi? – a ja odpowiedziałem:

– Mamo, tak śmierdzi trup – to dotarła do mnie cała absurdalność tej sytuacji.

– O czym ty mówisz? Skąd się tu wziął zapach trupa? – dopytywała Mama.

– Widzisz, wstawili nam do budynku ciuchy zdjęte z rozkładających się zwłok. I po prostu przenikamy tym smrodem – wyjaśniłem. – Wpuścisz mnie?



DOCHODZENIA



Pewnie zastanawiacie się, czy nie jestem przypadkiem typem człowieka, który ma skłonność do idealizacji i romantycznych wizji, i który później cierpi na duszy i ciele na niespełnienie, ponieważ rzeczywistość srogo go rozczarowuje. Albo z drugiej strony, czy nie jestem cynicznym cwaniakiem, który myśli tylko o swojej dupie i za nic ma los innych. To zrozumiałe. Wizerunek policjanta jest rozpięty zwykle pomiędzy tymi dwoma stereotypami: romantycznego zatraceńca, który kosztem własnego życia oddaje wszystko policyjnej służbie, albo skurwysyna, który w rzeczywistości nie idzie z pomocą innym ludziom, bo dba wyłącznie o własną kieszeń, którą nabija lewą kasą, nie zważając na żadne granice.

Myślę o sobie jako o człowieku całkowicie spoza tych narracji. Ale jednocześnie nie jest tak, żebym był odporny na wszystkie schematy, bo jednak w niektóre wpadałem.

Pewnie największym nieporozumieniem co do policyjnej pracy jest to, od którego zacząłem swoje bycie gliniarzem. Wydział Kryminalny. Brzmi dobrze, prawda? Dochodzeniówka na start, wielkie wow!

„Rozkaz jest rozkaz” – oznajmił mi przełożony na początku służby, kiedy przydzielono mnie do wydziału. Gdybym posiadał już wtedy jakieś doświadczenie, to stuknąłbym się w głowę i zrobił wszystko, by nie iść do kryminalnego. Stuknąłbym też jego w głowę, żeby mi nie wciskał farmazonów. Ale dwudziestotrzyletni chłopak, którym wtedy byłem, nie miał dość wiedzy o realiach tej gry. Szkoła policyjna okazała się bardziej teoretyczna niż praktyczna, co w sumie nie powinno dziwić, bo gdyby odsłaniała prawdziwą codzienność policyjnej pracy, to pewnie do jej końca dotrwałaby może połowa kandydatów.

Jest lipiec 2016 roku. Właśnie skończyłem podstawowe szkolenie zawodowe. Składam wniosek o przyjęcie do służby. Tak jak wszędzie indziej, wniosek musi być poparty dokumentami, w tym CV. Policja chce wiedzieć, z kim będzie miała do czynienia, jakie mocne strony będą mieli ich nowi pracownicy. Zrobiłem licencjat z anglistyki, dołączyłem więc świadectwo ukończenia studiów oraz dyplom. Policja natychmiast podchwyciła temat: „angielski”, jakbym przez to był jakiś rzadkim gatunkiem w zoo. W moim pokoleniu biegła znajomość angielskiego to już norma, więc zdziwiłem się ich entuzjazmowi.

Przyszedłem na jednostkę. Na start: prawdziwy ogień. Oto na komisariacie trwała wielka akcja archiwizacji starych dokumentów. Trzy tygodnie na rozpalenie zawodowej pasji. Możecie łatwo wczuć się w moje położenie: młody chłopak, nakręcony na pracę, wreszcie rusza na służbę!

No i dostałem, jak wszyscy wtedy, zadanie na miarę swoich marzeń: przerzucać stare papiery – kurz, pot i krew (mnie zalewająca). Dobra, zdarza się, zleciało. Aż wreszcie wysłali mnie na ulicę. Właśnie o to mi chodziło!

Ale minęły dwa tygodnie i komendant wezwał mnie do siebie. A tam już czeka też naczelnik prewencji. Zaczął mówić, że ze względu na moje wykształcenie i potrzeby osobowe w Wydziale Kryminalnym, chce mnie tam widzieć:

– Zostanie pan policjantem dochodzeniowo-śledczym – powiedział z emfazą. – Rzucamy pana na głęboką wodę, ale to dla pana świetna szansa.

Kładli mi do głowy frazes za frazesem. Nie powiem, łykałem to jak młody pelikan. Co za okazja, żeby od progu wejść na ścieżkę Despero z *Pitbulla* czy Sławomira Wątroby z *W11* – po prostu super! W pamięci odzywały się historie zasłyszane w szkole policyjnej od wykładowców z kryminalnego czy powtarzane przez kolegów, a do tego parę ćwiczeń z prowadzenia podstawowych czynności procesowych: przesłuchanie świadka, prowadzenie oględzin i tym podobne. Ale o tym, jak wygląda codzienna praca dochodzeniowca, pewnie nikt z nas wówczas nie miał pojęcia. Więc rzeczywiście obawa, czy podołam, mieszała się we mnie z ekscytacją, że to megastart i wyróżnienie. Miałem dać odpowiedź zaraz po ukończeniu adaptacji.

Adaptację zawodową można określić jako ostatni etap szkolenia, który odbywa się już w prewencji. Formalnie jest się już policjantem, posiada się broń służbową i uprawnienia.



Obecnie oznacza to trzymiesięczną pracę w OPP, czyli w Oddziałach Prewencji Policji. W moim przypadku to były dwa wakacyjne miesiące, czyli sezon futbolowy, więc większość akcji w ramach OPP, w jakich brałem udział, dotyczyła obstawiania meczy i pilnowania kiboli. Spoko czas.

Wróciłem z OPP do regularnej służby w jednostce i do rozmów o dochodzeniówce. Przełożeni zasugerowali, żebym wybrał sobie cały urlop i zaczął nową służbę „na czysto”. Tak zrobiłem i jesienią 2016 roku miałem trochę wolnego czasu. Znacznie więcej niż zaplanowałem, bo z urlopu płynnie przeszedłem na L4. Teraz mam okazję przeprosić swojego naczelnika, ponieważ nie byłem z nim wówczas zbyt szczerzy. „Wywaliłem się na oblodzeniu przed domem i złamałem rękę” – taka wersja poszła oficjalnie. W rzeczywistości było trochę inaczej. Razem z dwoma kolegami, z którymi poznałem się w szkole policji, pojechaliśmy do Warszawy. Dobrze się bawiliśmy, ale któregoś wieczoru, po wyjściu z klubu, nie spodobał nam się jakimś typom. Akurat trzech na trzech. Doszło do wymiany ciosów. Mój cios okazał się na tyle skuteczny, że zadziałał w dwie strony, czyli na tego gościa i na moją rękę. Dorobiłem się urazu bokserkiego: złamałem piątą kość odręcza. Poskładali mnie i... połamali ponownie. Coś spieprzyli za pierwszym razem i przy kolejnym składaniu musieli dołożyć mi do łapy druty. Rehabilitacja potrwała więc dłużej niż normalnie przy takich urazach. W efekcie do stycznia 2017 roku byłem wyłączony ze służby.

Wróciłem na jednostkę i rozentuzjarmowany opowiadałem innym kolegom, że mam opcję dostać się do dochodzeniówki. Starsi koledzy zbili mnie z tropu. Mocno i dosadnie: „Chłopaku, coś ty, przecież cię biorą pod chuja jak młodego, bo wiedzą, że się nie postawisz”. Mina mi zrzedła. „Jak by staremu powiedzieli, że pójdzie do dochodzeniówki, to by im powiedział, żeby spierdalali, bo siłą go nie zaciągną”.

Nasłuchałem się podobnych opinii i zgłupiałem. Pogałęm jeszcze z innymi kolegami, ale wszyscy w sumie mówili to samo: „Jesteś świeżo po szkole, daj sobie czas, pobądź trochę policjantem. Pójdiesz do dochodzeniówki, to dupa na krzesło i przerzucanie papierów, daj spokój”. No, to były naprawdę dwa różne światy: mojego wyobrażenia o pracy w kryminalnym i doświadczenia chłopaków, którzy mnie otaczali. A że jestem człowiekiem, dla którego liczy się bardziej praktyka niż teoria, postanowiłem zaufać opiniom kumpli.

Poszedłem do naczelnika i oznajmiłem, że po namyśle nie jestem zainteresowany dochodzeniówką. A on ciśnie, żebym wziął tę robotę. Usłyszał jednak ponownie moje stanowcze „nie”. Wydawało mi się, że jasno stawiam granice, mówiąc: „Nie ma mowy, nie podpiszę tego, trudno, najwyższej skierujemy sprawę do wyższych przełożonych”. Byłem świeżakiem, który nie wiedział jeszcze, jak to wszystko działa. Po prostu odwołałem się do tego, co naczelnik powiedział mi wcześniej w jednej z rozmów, kiedy deklarował, że nikt nie będzie mnie nigdzie pchać na siłę. „Masz czas

do namysłu – powiedział przed moim urlopem i zwolnieniem zdrowotnym. – Jeśli powiesz »nie«, to po prostu trafisz normalnym trybem do patrolówki”. I właśnie na to liczyłem.

Tymczasem naczelnik po jakimś czasie wzywa mnie do siebie. Zaczyna poufale:

– Słuchaj, Bagiet, próbowałem kogoś tam przekonać, ale to zostało ustalone przez górę i nie mogę nic zrobić w sprawie zmiany planów. Idziesz do dochodzeniówki, trudno. Rozkaz jest rozkaz.

Tylko że to nie był rozkaz! A ja, zieloniutki, zdębiałem. Wyobrażacie sobie, jak poważnie to brzmi? Rozkaz?! Ale w gruncie rzeczy był to tylko wniosek personalny. Taki dokument ma formę wniosku w jakiejś sprawie, który sam podpisujesz jako ten, któremu zależy, a przełożony pcha to wyżej do akceptacji. Nie połąpałem się w tym, a naczelnik kuł żelazo, póki gorące.

– Podpisz tutaj i tyle, po sprawie.

W papierach więc nie tylko nie znaleźlibyście mojego sprzeciwu, ale zajrzawszy do dokumentacji, stwierdzilibyście, że to była moja inicjatywa! Naczelnik mnie przekonał, naobiecował przy tym, ile będzie furtek do wyjścia z dochodzeniówki, gdyby mi się tam nie spodobało. „Zawsze możesz wrócić” – zadeklarował. To była kolejna obietnica bez pokrycia. A ja podpisałem ten papier i 15 lutego 2017 roku zostałem policjantem Wydziału Kryminalnego.

Początkowo do pracy podchodziłem na spokojnie. Stwierdziłem, że nie ma się co napinać. Pojeżdżę na oględziny, będę mieć dyżury zdarzeniowe, a także zabezpieczenia imprez, bo akurat u nas tym ostatnim też zajmowali się dochodzeniowcy, jako że nie było do tych zadań nikogo innego. Od wejścia wyglądało to całkiem normalnie. Dostałem biurko, kompa, a w kuchni stał ekspres do kawy, więc mogłem zaczynać dzień od kofeiny.

Z początku dostawałem zadania wsparcia innych policjantów w sprawach, które prowadzili. Miałem czegoś poszukać w systemie, coś odgrzebać w internecie, przeczytać akta sprawy jednej, drugiej, trzeciej, przesłuchać świadka albo zgłaszającego przestępstwo. Czasem wyjechać z chłopakami na dyżury zdarzeniowe. Innymi słowy, nie wyglądało to źle, prawda? Do czasu, aż zacząłem dostawać własne sprawy do prowadzenia.

Dochodzeniowiec to biurwa. Siedzi przy blacie, przerzuca papiery, wstukuje informacje do kompa, wysyła korespondencje, segreguje akta. Od wielkiego dzwonu zdarzy się jakieś ciekawe przesłuchanie. Najważniejsze zadanie dochodzeniowca na komisariacie: utrzymać porządek w papierach. Najrzadziej występujące zadanie dochodzeniowca na komisariacie: rozwiązać jakąś sprawę.

Jasne, że się wyzłośliwiam. Ale mówię o rzeczywistości komisariatu. Inna rozmowa zaczyna się dopiero na poziomie komendy miejskiej i wojewódzkiej. Im wyższa jednostka, tym grubsze sprawy. Na komisariacie dopną kryminalnemu

siedemdziesiąt spraw, w większości z góry skazanych na umorzenie, a na miejskiej funkcjonariusz dostaje trzy, cztery sprawy, w których tylko prowadzący będzie wystarczająco oblatany, żeby je faktycznie rozwiązać. Na komisariacie – przyjmiesz w papiery kradzież roweru, nielegalny napis na bloku i oszustwa na OLX-ie; na miejskiej – przestępstwa gospodarcze tak zawikłane, że gdyby ktokolwiek miał przejąć dochodzenie, to by się po przeczytaniu akt przeżegnał dwa razy. Podkreślam, że moja perspektywa jest prowincjonalna – z poziomu zwykłego komisariatu.

Większość spraw, które do mnie trafiały, to była tak zwana rejestrówka, czyli sprawy raczej do rychłego umorzenia. To naprawdę przekraczało moją tolerancję. Biurko – dla



mnie to kara fizyczna, ponieważ już wtedy miałem zajawkę na sport i siedzący tryb życia kłócił się z moimi przyzwyczajeniami. Rejestrówka – to z kolei kara psychiczna, bo jak mam się kręcić w życiu wokół wypisywania papierków, a nie skutecznego rozwiązywanie spraw, to ja serdecznie dziękuję.

Klepa to morderca wszelkiej policyjnej motywacji. Przyjmujesz sprawę po to, żeby ją... przyjąć. Tylko dlatego, że porządek w papierach musi być. Opcja, żeby realnie podzielać z tematem, ujawnić czy nawet namierzyć sprawcę, to były należące do rzadkości wyjątki od reguły. Dominowała biurowa rutyna. Oszustwa w necie, włamania, kradzieże, najczęściej z otwartych posesji, typu czyjs plac budowy albo skład budowlany. Klepa, klepa, klepa.

Kradzież z włamaniem to niestety – o czym ludzie chyba nie mają pojęcia – najczęściej klepa. Chyba że przestępca będzie złapany na gorącym uczynku. W innym przypadku wykrywalność jest bardzo niska. Nie przeszkadza to policji chwalić się nią, bo już tak chętnie nie mówi, w jaki sposób gromadzi dane, żeby wypracować właściwe liczby. Wystarczy dobrze skonstruowana definicja i statystyki szybują w górę. Intuicyjnie człowiek interpretuje słowo „wykrywalność” jako coś, w co policja włożyła wysiłek, żeby dojść do rozwiązania sprawy konkretnymi metodami śledczymi. Tymczasem biorąc za przykład kradzież z włamaniem: jeśli sprawca zostanie w wyniku zgłoszenia schwytany na gorącym uczynku, to policja „robi na to sprawę”. W takich dochodzeniu sprawca

od razu jest „wykryty”. A więc sukces. Podobnie rzecz wygląda z przemocą domową. Ktoś robi zgłoszenie, policja jedzie na miejsce, a na miejscu od razu są ofiara i sprawca. Policja robi sprawę, w której od razu ma kolejne punkty do statystyki wykrywalności.

Wracając więc do włamań: jeśli nie ma na miejscu zbira, to policja wystawia tak zwaną „n-kę”, a to zasadniczo równa się klepie. N-ka to sprawa, w której nie ma sprawcy, nie ma za bardzo materiału, zasadniczo nie ma szans ich rozwiązania. Takie sprawy komisariat umarza.

Ludzie myślą dzisiaj, że wystarczy otoczyć się kamerami, by być bezpiecznym. Ale z prywatnymi monitoringami jest wiele problemów. Po pierwsze, kamera musi w ogóle działać, co nie jest takie oczywiste. Może paść zasilanie, może zerwać się połączenie z internetem, może zaszwankować pamięć urządzenia. Ludzie myślą, że taka instalacja jeśli nawet nie nagra, to może chociaż odstraszy potencjalnego przestępcę. Cóż, miałem mnóstwo takich przypadków złudnej nadziei.

Na zgłoszeniu zawsze sprawdzaliśmy okoliczne monitoringi, ale najczęściej to była porażka. „Panie, on od trzech lat nie działa, ale przez te trzy lata nikt tu nic nie ukradł, nie?”. I potem ludzie płaczą. Ale nawet jeśli monitoring działał i zarejestrował wizerunek sprawcy, to jeszcze wcale nie przybliżał policji do ustalenia tożsamości zbira. Nie ma przecież bazy profili wszystkich ludzi w Polsce. Szansa na identyfikację, nawet przy dobrym zapisie z kamery, dotyczy tylko tej

Jeśli chcecie mieć skuteczny monitoring, pamiętajcie nie tylko o parametrach kamery. Ważniejsze są sposoby na zapewnienie jej stałego zasilania (bo co jeśli włamywacz będzie w stanie z zewnątrz wyłączyć korki?), pamięci do przechowywania nagrań (chmura jest lepsza niż karta, którą włamywacz może ze sobą zabrać) czy dostępu do nagranego materiału (aplikacje, powiadomienia, dostęp do chmury itd.).



grupy ludzi, którzy już coś wcześniej przeskrobali, a policja zarchiwizowała ich zdjęcia, profile DNA czy zapis linii papilarnych. Bez tego komisariatowi pozostaje rozesłać jakiś wystarczająco dobry kadr z monitoringu do sąsiadujących komisariatów z zapytaniem, czy ktoś nie kojarzy takiego człowieka. Więc od zapisu z monitoringu do wykrycia sprawy jest naprawdę daleka droga. Dlatego w przypadku kradzieży najczęściej wlatuje umorzenie.

Przy tym wszystkim ważne jest też to, żeby zawsze pozostać człowiekiem. Z jednej strony łatwo o znieczulicę, kiedy wciąż wpadają ci takie same drobne sprawy ze znikomymi szansami na rozwiązanie. Z drugiej – przekonałem się, że policjanci najczęściej mimo wszystko liczą się z drugim człowiekiem.

© Wydawnictwo WAM, 2023

Opieka redakcyjna: Sławomir Rusin
Redakcja: Tomasz Ponikło, Kamil Piotr
Korekta: Anna Adamczyk
Skład i opracowanie graficzne: Lucyna Sterczewska
Projekt okładki: Paweł Harlender/Studio Inigo
Fotografie w książce: archiwum autora,
oraz Jakub Nowicki/Studio Inigo.
Wykorzystano także:
Depositphotos 100897460, by Vanzyst

ISBN 978-83-277-3612-3

MANDO
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200
www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: LEYKO Sp. z o.o. • Kraków
Publikację wydrukowano na papierze Artis white 80g vol. 1.6